

## **MOJA WOJNA c.d. MOJE DZIAŁANIA NA WILEŃSZCZYŹNIE PO PSEUDO WYZWOLENIU (cz. II)**

W tym czasie przez teren naszej placówki szły masy wojsk hitlerowskich, które po rozbiciu ich pod Mińskiem, zdołały uchronić się przed wojskami radzieckimi i teraz całymi dużymi oddziałami, liczącymi od kilkunastu do kilkuset osób, dobrze uzbrojone, posuwały się na zachód, w celu przedarcia się przez front i połączenia z silną jeszcze wówczas grupą wojsk hitlerowskich, okupujących Litwę i Łotwę. Te hitlerowskie oddziały czyniły spustoszenia we wsiach, a szczególnie w rozrzuconych w przestrzeni pojedynczych gospodarstwach, rabując w dużych ilościach żywność i odzież cywilną.

Rozrzucone w terenie oddziały radzieckie nie były w stanie ochronić tej ludności, a tym bardziej zlikwidować niebezpieczeństwa militarnego jakie stanowiły owe, dążące od Mińska na zachód, oddziały hitlerowskie pod wodzą wyższych czasem oficerów.

W myśl często wówczas śpiewanej „Roty”, że „twierdzą nam będzie każdy próg”, powracający spod Wilna żołnierze V batalionu 77 pp w ciągu szeregu dni latem 1944 roku solidnie przetrzebili na własnym terenie (w rejonie Biania-

koń, Werenowa i Ejszyszek) dążących na zachód hitlerowców. Tak np. przed progiem mojego domu znalazło w walce śmierć 8 najeźdźców hitlerowskich, nie licząc rannych. Zaczęło się od tego, że umówiłem się z drużynowym „Kobuzem”, aby 22 lipca 1944 roku o zmierzchu z odległej o pół kilometra na zachód Bobniowszczyzny, gdzie kwaterował porucznik „Licho”, przyszedł on do mojego domu w Aksamitowszczyźnie z erkaemem. Zaledwie wyszedłem na spotkanie pod umówioną lipą, stojącą 15 m od domu, zanim przybył do mnie „Kobuz”, przyszedł duży oddział niemiecki i po zatrzymaniu się na drodze o 30 m od mojego domu, wysłał w jego kierunku 10 osobowy patrol. Zastanawiałem się przez chwilę czy strzelać przy tak ogromnej dysproporcji sił, będąc w pojedynkę bez erkaemu i mając tylko PPD. W razie niepowodzenia musiałem się liczyć ze spalaniem zabudowań całego gospodarstwa oraz ze śmiercią moją i 4 osób stryjostwa.

Przemogła powinność ochrony miejsca postoju por. „Licho” w Bobniowszczyźnie i obietnica, że nie wpuszczę hitlerowców do mojego

domu oraz żołnierska ambicja. Długą serią ostrzelałem przybyły oddział. Początkowo zaczęli się odstrzeliwać, ale ostatecznie w masie swojej uciekli, których nie dosięgły kule. Po uspokojeniu kobiet w domu, przez całą noc z przybyłym „Kobuzem” pilnowaliśmy gospodarstwa przed dodatkowym najściem i ewentualnym spalaniem.

O świcie położyłem się spać, po



*Kpt. „Licho” Stanisław Szabunia*

uprzednim poleceniu aby córka stryjka, nic o mnie nie wspominając, zawiadomiła stacjonujących w Jodkiszkach bolszewików o walce nocnej i poległych Niemcach oraz zapytała co z nimi robić. Od-

powiedzieli: „Zakapajcie ich jak sobak”.

Następnego dnia w ramach ochrony miejsca postoju dowódcy w Bobniowszczyźnie umówiłem się z „Wrzosem” na spotkanie, dla odmiany przy świerkach za stodołą. I znowu, zanim „Wrzos” doszedł do mnie za stodołą, przy domu rozległy się serie strzałów, a po chwili zauważyłem jakieś postacie biegnące w moją stronę. Nie wiedziałem kim są. Nie chcąc zabić swoich, ani „sojuszników naszych sojuszników” zapytałem jednocześnie po polsku i po rosyjsku – „Kto!”.

Gdy zmienili kierunek biegu, zorientowałem się, że nie są Słowianami i otworzyłem ogień. Gdy padli, zanim podszedłem, dodatkowo profilaktycznie ponowiłem serie ognia wycelowaną z PPD. Po zbliżeniu się, zauważyłem wyciągniętą w moim kierunku rękę jednego z żołnierzy niemieckich, uzbrojoną w parabelę. Uświadomiłem sobie, co by było, gdybym podszedł bez ponowionego ostrzału.

Okazało się, że Niemcy weszli do domu w parę minut po moim wyjściu na spotkanie z „Wrzosem”. Gdy „Wrzos” w drodze do mnie przechodził obok domu, zauważył stojącego przed gankiem Niemca. Natychmiast zza węgła otworzył ogień z maszynowego pistoletu i nie wiedząc jaką Niemcy mają przewagę zajął stanowisko ogniowe. Przepłoszeni Niemcy skierowa-

li się m.in. w moim kierunku. Rezultat opisałem powyżej.

W sumie, nie licząc nawet zabitych szaulisów gen. Plechawiczusa, za każdego poległego partyzanta z V batalionu, hitlerowscy okupanci zapłacili kilku swoimi „nadludźmi”, do pułkownika włącznie. „Nadludzi” którym drogę z grabieżczej wyprawy na Wschód na zawsze przeciął utworzony przez mjr „Sztremera” Truszkowskiego, V batalion 77 lidzkiego pułku piechoty.

Internowanie generała „Wilka” i ppłk „Poleszuka” w Wilnie oraz części ich sztabu i dowódców wileńskich brygad AK w Boguszach, przeprowadzone 17 lipca 1944 r przez Armię Sowiecką, która również wymusiła demobilizację większości oddziałów AK na Wileńszczyźnie, spowodowały zdecydowany bojkot rozkazów mobilizacyjnych do Czerwonej Armii, jak również do armii gen. Berlinga. W następstwie, celem uzyskania rekrutów, Armia Sowiecka rozpoczęła na Wileńszczyźnie masowe łapanki, z uciążliwym przeczesywaniem terenu i gęstym stacjonowaniem oddziałów bolszewickich.

W tej sytuacji, w końcu lipca, w Stowżginianach zostali postrzeleni dwaj żołnierze z 3 brygady wileńskiej „Szczerbca”, wracający z nieudanej przeprawy przez Niemien, w tym „Chrobry”. Zawiado-

miony przez Kuszelewicza zabrałem ich do siebie. Wezwałem felczera Butryma który opatrzył im rany. Gdy odpoczęli, na ich życzenie zamieniłem ich mundury i broń na cywilną odzież oraz drewniane widły i grabie, aby bocznymi drogami doszli do własnych domów w rejonie Oszmiany.

Gdy pewnego sierpniowego dnia leżałem w lasku za stodołą w Aksamitowszczyźnie, czytając po cichu poezje Mickiewicza, leżący obok „Grom” poruszył mnie, wskazując na sąsiednie krzaki. W odległości ok. 8 m spostrzegłem przeczesującego laszek żołnierza sowieckiego z karabinem w dłoni. Natychmiast poderwałem się do ucieczki. Żołnierz wystrzelił i zatrzymał „Groma”. Rozpoczęto pogoń, ale zdołałem uciec. Nie mogłem nie uciekać, gdyż rodzina moja od 55 już miesięcy z młodszym rodzeństwem była wywieziona na Syberię. Byłem więc zagrożony bardziej niż przeciętna młodzież.

„Groma” zabrano do Lidy, ale przy najbliższej sposobności uciekł, na drugi dzień wracając do uradowanej matki w Aksamitowszczyźnie.

Innego dnia, podczas obławy, nasz oddział był skupiony z por. „Licho”. Ułożyliśmy się wianuszkami na jeża w gęstych zasłaniających nas świerkach, licząc że zostaniemy ominięci po obu stronach gęstej kępy tych młodych świerków.

W chwili nadejścia tyralierę przeczesującej lasek jeden z naszych żołnierzy, widząc nogi przechodzącego tuż obok „łapacza”, nadmierne przycisnął spust swojego PPD. Usłyszeliśmy, na szczęście tylko my, trzask zwalnianego zamka, który na dodatkowe szczęście zaciął się zatrzymując na wybieranej z dysku kuli. Dzięki temu nie dostrzeżeniu nas, przez przechodzącą tyralierę, uniknęliśmy konieczności zbrojnego przebijania się w głąb lasu na tyły przechodzących „sojuszników naszych sojuszników”.

W czasie gdy w pierwszej dekadzie sierpnia por. „Licho” otrzymał od ppłk „Kotwicza” nominację na dowódcę Zgrupowania (Podzgrupowania) otrzymaliśmy wiadomość, że por. „Kryśia” 6 sierpnia wyrusza ze swoim oddziałem w teren. W ostatniej dekadzie sierpnia otrzymaliśmy też wiadomość o ciężkich walkach oddziału ppłk „Kotwicza” w Surkontach i jego bolesnych kilkudziesięciuosobowych stratach, powetowanych śmiercią sowieckich napastników. Zasmuciła nas bardzo żołnierska śmierć ppłk „Kotwicza” i utrata najlepszych towarzyszy broni – ofiarnych obrońców Polskiego Narodu na Kresach Wschodnich.

We wrześniu 1944 r po wieczorowym przekroczeniu torów kolejowych i szosy z ominięciem Birżyń od strony Romuć idąc do drogi na wschód do lasu prowadzącej, na-

tknęliśmy się na sowiecki oddział idący do Birżyń zajmowanych przez jednostkę radziecką. Usłyszeliśmy rosyjskie pytanie: „Wy kto?”. Zajmując bojowe stanowiska odpowiedziliśmy natychmiast: „My – isbe 3. – Parol!” (tzn. „my-trzeci myśliwski batalion –hasło!”). Okazało się, że spotkany oddział nie zna żadnego hasła. Może go zapomniał. Nastąpiła dramatyczna sytuacja, którą rozładowała nasza strona, zgłaszając propozycję „Wy i my na prawo – marsz”! Rozeszliśmy się bez żołnierskich ofiar. Inny oddział w podobnej sytuacji użyłby broni. My, pomimo bolesnych doświadczeń nadal traktowaliśmy żołnierzy radzieckich jako „sojuszników naszych sojuszników”.

Zasadą było nie korzystanie z przewodników, nawet w nieznanym terenie. W czasie nocnej zmiany miejsca pobytu posuwaliśmy się korzystając z gwiazdy polarnej, a gdy zasłaniały ją chmury szliśmy w oparciu o mapę na kąt kierunkowy, korzystając z kompasu. Aby nie zboczyć z wyznaczonego kierunku czasami wypadało iść przez gęste krzaki lub las po omacku, na słuch, chwilowo z zamkniętymi oczami, aby nie zostały uszkodzone przez ostre gałęzie drzew.

W końcu października nakłoniliśmy por. „Licho”, osłabionego wrzodami przewodu pokarmowego, aby udał się na leczenie do Wilna, bowiem nie mógł już z nami o wła-

snych siłach maszerować.

W listopadzie 1944 roku wybudowaliśmy w Puszczy Rudnickiej, o kilkaset metrów na północ od drogi i rzeki Solczy, podziemny bunkier. Ulokowany na stoku leśnego wzgórza, które poszerzał, wśród wysokopiennych sosen nie był on widoczny dla przechodniów. Był bowiem zamaskowany ziemią i płatami mchu tak, że mogli po nim przechodzić piesi, nie orientując się że pod nogami mają, ogrzewany kafłowym piecykiem okutym kątownikami, stosunkowo obszerny pokój podziemny. Jego ściany i sufit utworzyliśmy ze ściętych w pobliżu sosen, z ich gałęzi oraz mchu utworzyliśmy uszczelnienie sufitu oraz posłanie. Strone wejście w dół było zamaskowane krzakiem suchego jałowca, którego gęste gałązki zabezpieczały przed jego wpadnięciem do bunkra. Równocześnie chroniły to wejście przed wdepnięciem pieszego czy zwierzęcia.

Zimą 1945 roku por. „Licho” przysłał nam radiostację z Wilna. Przywiozła ją „Nowina”. Z bateriami przechowywałem ją u siebie w Aksamitowszczyźnie. W obawie przed jej utratą po namierzeniu goniometrami, postanowiliśmy uruchomić ją w owym trudno dostępnym bunkrze puszczańskim, znanym tylko nam, do którego nie było żadnej drogi dojazdowej. Zdecydowaliśmy się na taką lokalizację radiostacji pomimo dotkliwych starć

jakie się w pobliżu odbyły dnia 6 i 7 stycznia 1945 roku z grupą „Komara”, zaatakowaną przez oddziały sowieckie. W wielogodzinnych starciach tych zginęło po kilkadziesiąt żołnierzy z każdej ze stron.

Pewnego dnia w południe, gdy grałem w szachy z radiotelegrafistą, siostra stryjeczna krzyknęła: „Bolszewicy przed domem!”. Próbowałem wyskoczyć z domu oszklonym gankiem na stronę sadu, ale droga była zamknięta przez idący gęsiego, łukiem w kierunku domu, kilkudziesięciosobowy oddział sowiecki. Wróciłem do pokoju, proponując radiotelegrafście zejście ze mną do zamaskowanego schowka jaki miałem w piwnicy. Otworzyłem kłapę w podłodze w kuchni, byśmy zeszli do piwnicy, ale radiotelegrafista odmówił chowania się, twierdząc że posiada dokumenty repatriacyjne do Polski.

W momencie mojego wchodzenia do schowka weszli do kuchni sowieccy żołnierze. Kłapa do piwnicy nie była jeszcze zamknięta. Zajrzeli przez nią do piwnicy, ale mnie już nie było widać. Nawet gdyby ktoś tam wszedł na dół pod podłogę, mnie by raczej nie znalazł.

Ponieważ młody radiotelegrafista był do mnie podobny zajęli się swym łupem, zabierając go do Werenowa gdzie były władze Rejonu. Tam wyprowadziła ich z błędu przetrzymywana w NKWD moja sąsiadka, Ola Butrymówna.

Oświadczyła, że okazany jej osobnik na pewno nie jest Bolesławem Siemiątkowskim. Ponieważ radiotelegrafista twierdził im, że chciał w moim domu kupić masło i słoninę na planowany wyjazd „do Polski”, na co okazał stosowne dokumenty – został zwolniony. Po kilku godzinach – w czasie których uprzedziłem kogo należało o jego zabranii przez NKWD – ku naszej ogromnej uciechu powrócił do mego domu.

W takiej sytuacji wybraliśmy się z radiostacją do Puszczy Rudnickiej. Chłop który nas tam sankami podwiózł, bał się ogromnie i serdecznie ucieszył gdy go zwolniliśmy. Podeszliśmy początkowo przetartą drogą, a potem gęsiego, trop w trop po śniegu do bunkra, tak aby ostatni szedł ten który ma największe buty. Pozwoliło to na zostawienie śladu przejścia pojedynczego człowieka.

Niestety ponawiane usiłowania nawiązania odpowiedniego kontaktu radiowego z naszym odpowiednikiem w Londynie nie powiodły się. W tej sytuacji zamaskowaną gałęziami radiostację pozostawiliśmy w bunkrze, zamaskowaliśmy do niego wejście i wróciliśmy na nasze przydomowe miejsce postoju.

Z nadejściem wiosny z bunkra tego skorzystał jeszcze oddział „Wrzosa” – „Puchacza”, zanim po otrzymaniu dokumentów przybył z Wileńszczyzny w rejon Warszawy.

Zagrożeni łapanką Święta Wielkanocne 1945 roku spędziliśmy z bronią w towarzystwie oddziału „Myśliwego”, na południowym skraju Puszczy Rudnickiej.

W kilka tygodni po Konferencji Jałtańskiej, która odbyła się w dniach 4-11 lutego 1945 r otrzymaliśmy nie tylko zezwolenie, ale na skutek nieuchronnego zagrożenia co najmniej kilkunastoletnim więzieniem lub śmiercią w ZSRR – zalecenie przemieszczenia się, za pomocą Urzędów Repatriacyjnych, na nowy teren Polski, gdzie nadal mogliśmy być narodowi polskiemu użyteczni.

Poza konspiracyjnym na moje nazwisko posiadanym do dziś archiwalnym dokumentem niemiecko-litweskim, w którym jako mieszkaniec Wilna jestem młodszy o dwa lata, łączniczki dostarczyły mi dwa dokumenty na nazwisko Jerzy Żukowski i Bolesław Korsak.

Zamówiłem kartę repatriacyjną dla mnie na nazwisko Jerzy Żukowski. Moi towarzysze broni, tak jak ja zagrożeni, otrzymali karty repatriacyjne na wybrane przez siebie inne nazwiska.

Uzbrojenie „Piętki”, otrzymane w końcu kwietnia 1945 roku, zakonserwowałem i razem z moim schowałem w zbitej skrzyni, na skraju lasu, w kruszni kamieni, 2 maja, po otrzymaniu wiadomości o upadku Berlina. Nie przypuszczałem, że po kilkudziesięciu latach



*Pomnik poległych, na wojennym cmentarzu żołnierzy AK w Surkontach, upamiętnionych przy Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Drugi od prawej stoi autor wspomnień*

wszystkie kamienie w okolicy szosy Lida-Wilno zostaną zabrane na jej poszerzenie w stosunku do szerokości przedwojennej. Doprowadziło to do nieuchronnego odnalezienia naszej broni. Dobrze, że jako Polacy nie musieliśmy jej używać przez ponad 50 lat po wojnie.

3 maja 1945 r wyjechałem do Wilna. W drodze do stacji kolejowej Stasiły byłem legitymowany przez „istriebitielnyj” oddział. Moje

dokumenty na nazwisko Żukowski nie wzbudziły podejrzeń. W Wilnie pożegnałem się z por. „Licho”, z którym ponownie, już jako inżynier, spotkałem się dopiero w 1974 r w Nowym Jorku. Tam opowiedział mi, że latem 1945 r został uwięziony, ale podczas śledztwa nie został zidentyfikowany jako por. „Licho”. Zimą 1946 r na terenie Łotwy wyskoczył w głęboki śnieg z wiozącego ich na Syberię transportu. Przy pomocy pracowników uniwersytetu Stefana Batorego (w skrzyni) przez granicę przedostał się z Wilna do Polski, a potem na Zachód.

Do Warszawy przyjechałem 7 maja 1945 r. Przede wszystkim wykorzystując wyżej wspomniany konspiracyjny dokument wileński wróciłem do nazwiska rodzowego. Początkowo pracowałem w gospodarstwach rolnych w powiecie Łuków, aby zarobić trochę pieniędzy na rozpoczęcie dalszej nauki, bowiem repatriowałem się bez grosza w kieszeni.

W sierpniu 1945 r po prawie 6 letnim okresie nie widzenia, u ciotki w Warszawie, spotkałem starszego brata Henryka, który również uniknął wywózki na Syberię. Przypadek chciał, że urlopowany jako żołnierz znad Odry i Nysy, z drugiej armii

gen. Świerczewskiego, przybył on do Warszawy równocześnie ze mną.

Napisałiśmy razem i wysłałiśmy na Syberię list do naszych rodziców. Zawiadomiliśmy, że gdy przyjadą do Polski powinni o naszym adresie dowiedzieć się w Orlim Gnieździe u wujka Antoniego. Dzięki temu zostaliśmy odnalezieni w marcu 1946 roku przez młodszego brata Zdzisława, a w maju tego samego roku przez ojca, który wówczas z mamą i siostrą Alfredą przejeżdżał obok Orlego Gniazda jadąc transportem z Syberii przez Łódź. Byłem tam wtedy uczniem Liceum Mechanicznego.

W maju 1947 r bez potrzeby ujawniłem się w Urzędzie Bezpieczeństwa w Łodzi. Piszę „bez potrzeby” bowiem ujawnieniu podlegali żołnierze AK, którzy walczyli na terenie Polski, a Wileńszczyzna nie była już wówczas traktowana przez władze jako Polska. Ponieważ ja uważałem, że Wileńszczyzna jest Polską – ujawniłem się. Przecież do dziś, pomimo bardzo licznej repatriacji powojennej z Syberii skierowanej na Zachód od Bugu, przesiedleń ludności Wileńszczyzny na Ziemię Zachodnie i akcji wynaradawiania, Polacy stanowią większość ludności w kilku rejonach Wileńszczyzny.

Wyżej wymienione ujawnianie w UB zaciążyło bardzo na mojej karierze zawodowej. Mimo wyż-

szego wykształcenia (jestem mgr inżynierem) oraz bardzo dobrych wyników mojej pracy byłem z niej, jako żołnierz AK, mocą poufnych nakazów kadrowych, zwalniany.

Mimo, że byłem z prawie 6-letnim stażem kombatanckim zastępcą dowódcy plutonu, w walkach dowodzącym okresowo dwoma plutonami i Kawalerem Orderu Wojennego *Virtuti Militari*, podchorążym, o którego oficerski awans do władz PRL występował dowódca V/7 pp AK ppłk Stanisław Truszkowski, przez cały okres ponad 44 lat powojennych PRL-u miałem wpisane w książeczce wojskowej – cytuję: „Kategoria pierwsza, inżynier, szeregowiec, specjalność wojskowa 132, zdolni do służby liniowej, mało wyszkoleni”.

Dopiero po zwycięstwie wyborczym „Solidarności”, rozkazem personalnym MON z dnia 18 X 1989 r nadano mi stopień porucznika ze starszeństwem od 30 maja 1944 r, a w 1994 r kapitana. Aktualnie, w wykonaniu Ustawy Sejmowej zostałem mianowany na stopień majora.

Jeżeli powyższe wspomnienia z „mojej wojny” uzupełniły wiedzę Czytelnika o losach i walce naszego polskiego narodu – moja praca nie będzie daremna.